

Rozdział pierwszy

Życie Jamesa Henry'ego Trottera płynęło bardzo szczęśliwie, póki nie skończył czterech lat. Do tego czasu mieszkał sobie spokojnie z mamą i tatą w pięknym domu nad morzem. Zawsze miał dookoła mnóstwo dzieci do zabawy, piaszczystą plażę do biegania i ocean, w którym można się było pluskać. Małemu chłopcu nie potrzeba więcej do szczęścia.

Aż tu pewnego dnia mama i tata Jamesa wybrali się do Londynu na zakupy i tam przydarzyło im się straszne nieszczęście. Oboje zostali niespodziewanie pożarci (w dodatku w biały dzień i na ruchliwej ulicy) przez ogromnego rozjuszonego nosorożca, który uciekł z londyńskiego zoo.

Możecie sobie wyobrazić, że doświadczenie tego rodzaju było raczej dość przykre dla tych miłych rodziców. Jego skutki okazały się jednak o wiele gorsze dla Jamesa. Bo kłopoty mamy i taty skończyły się

w mgnieniu oka. Umarli i w ciągu dosłownie trzydziestu pięciu sekund mieli już święty spokój. Natomiast biedny James pozostał żywusięki a w dodatku nagle znalazł się całkiem sam, w ogromnym, przerażającym i nieprzyjaznym świecie.

Jego przeziły dom nad morzem musiano natychmiast sprzedać i mały chłopiec z walizką, w której miał tylko piżamę i szczoteczkę do zębów, został wysłany do ciotek.

Było ich dwie, nazywały się ciotka Gąba i ciotka Szpila i z przykrością muszę powiedzieć, że obie były okropne. Były samolubne, leniwe, okrutne i od samego



początku były biednego Jamesa z byle powodu. Nigdy nie mówiły mu po imieniu, tylko nazywały go obrzydliwym małym stworzeniem, utrapionym brudasem albo łajzą, a już na pewno nigdy nie dawały mu żadnych zabawek ani książek do oglądania. Pokój chłopca był tak pusty, że przypominał więzienną celę.

Ciotki Gąba i Szpila zajmowały dziwną rudere na wierzchołku pagórka w południowej Anglii, a teraz dzielił ją z nimi także James. Wzgórze, na którym stał ich dom, było tak wysokie, że nieomal z każdego miejsca w ogrodzie James mógł podziwiać przepiękne lasy i pola ciągnące się całymi milami daleko w dole.



Przy dobrej widoczności, jeśli spojrzał w odpowiednim kierunku, widział małą szarą plamkę, która była tym domem, gdzie kiedyś mieszkał z ukochanymi rodzicami. A zaraz za tą plamką, jak linia atramentu tuż pod krawędzią nieba, widniał długi, cienki, czarno-niebieski paseczek oceanu.

Cóż, kiedy Jamesowi nie wolno było nigdy schodzić ze wzgórza. Ciotce Gąbie ani ciotce Szpili nie przychodziło do głowy, żeby go wziąć na spacer albo na piknik, nawet króciutki. A samemu nie pozwalały mu się nigdzie oddalać.

– Obrzydliwe małe stworzenie gotowe jeszcze narozrabiać, jeśli tylko wyjdzie z ogrodu – mawiała ciotka Szpila.

Gdyby James odważył się przeleźć przez płot, groziłyby mu straszne kary, na przykład tygodniowy areszt w piwnicy ze szczurami.

Ogród na wzgórzu był wielki i zapuszczony, a oprócz kępy starych laurowych krzewów, rosło tam tylko jedno jedyne drzewo – wiekowa brzoskwinia nie-dająca nigdy owoców. Nie było w nim huśtawki ani chybotki, nie było piaskownicy i nigdy nie zapraszano dzieci, z którymi biedny James mógłby się czasem pobawić. Chłopiec nie miał nawet psa ani kota do towarzysztwa. Nic więc dziwnego, że w miarę upływu czasu



robił się coraz smutniejszy i coraz bardziej samotny. Codziennie stawał na skraju ogrodu i godzinami gapił się tęsknym wzrokiem na cudowny, ale mu niedostępny świat lasów i pól, i na ocean, który rozpościwał się w dole jak czarodziejski dywan.